

w Polsce otoczona jest tak powszechnym współczuciem i sympatiami, że trudno rachować na pomoc otoczenia, gdy się ma do czynienia z rewolucjonistami. Przeciwnie, spotkać można w takich wypadkach nie pomoc, lecz przeciwdziałanie. I oto, gdy trzeba się uciec do pomocy publiczności, gdy się chce wywołać współdziałanie ludzi, nie mających zaszczytu być oficjalnymi podporami azjatyckiego tronu carskiego, używa się hasła: «łapaj, trzymaj złodzieja!»

Mimowolni sprawcy aresztowania «politycznego» nieraz gorzkie robią sobie wyrzuty, że się stali pomocnikami ohydnych gwałtów policji carskiej. Spotkałem raz pewnego pod Wilnem jednego kolejarza, który mi ze łzami w oczach opowiadał o takim fakcie.

— Szedłem — mówił mi wzruszonym głosem — późnym wieczorem po ulicy. Słyszę za sobą szybkie kroki biegnącego człowieka i krzyk: «łapaj, złodziej, złodziej!» Odwracam się, przede mną młody Żydek z wystraszoną twarzą, zadyszany i spocony. Chciał biedak skręcić do zaułka, w którym prawdopodobnie znikłby i umknął od prześladowców. Lecz ja, nic nie wiedząc, schwyciłem go za kark. A tuż za nim wpadli naraz: rewiry i dwóch stójkowych.

Jeden z nich uderzył Żydka w twarz, łając.

— *Ach, ty sukinsyn!* — krzyczał, — *parszywyj żyd, buntował, wzdumał!*<sup>1)</sup> — rewiry trzymał w ręku jakiś papier.

Ręce mi opadły, gdym to usłyszał. Mój ty Boże, — dodał z westchnieniem, — i czemu też nie rzeknął mi on przed chwilą, że go ściga policja za politykę!

Wobec tego należy być nadzwyczaj ostrożnym w udzielaniu jakiegokolwiek pomocy policji, należy się wystrzegać tego szczególnie w czasie zaburzeń i rozruchów ludowych i podczas dni, gdy policja jest niespokojną i nerwową.

---

## ZAKOŃCZENIE

Zatrzymałem uwagę swych czytelników może zbyt długo nad bibułą, zdaje mi się jednak, że zasługuje ona na to. Słowo drukowane w obecnych społeczeństwach jest uznaną powszechnie potęgą. Jego postęпами, jego rozwojem, jego rozpowszechnianiem mierzą niektórzy siłę, owoc i stan cywilizacji

<sup>1)</sup> Ach, ty sukinsynu!... Żydzie parszywy, buntować się umyśliłeś?

i kultury. A jak my, Polacy, w zaborze rosyjskim stoimy pod tym względem? Odpowiedź łatwa.

Dosyć sobie przedstawić ludzi, którzy nie mają prawa czytać niesfałszowanej historii swego narodu: dosyć widzieć utwory naszych wieszczów, pokaleczone brutalną ręką cenzorów; dosyć pomyśleć, że istnieje nowoczesne społeczeństwo, w którym stronnictwa polityczne albo są pozbawione prawa istnienia, albo w najlepszym razie skazane na przemawianie potwornym, niewolniczym językiem Ezopa; dosyć wyobrazić sobie, że szeroka, tak bolesna dla nas działalność rządowa podlegać nie może wcale publicznej krytyce — a często nawet zwykłemu omówieniu; dosyć tego wszystkiego, by wiedzieć, jak nie odpowiadającym potrzebom społeczeństwa jest stan legalnego słowa drukowanego, jak poniżająco wyglądamy wobec innych narodów.

Lecz chociaż «żyjemy w pomrocy», żyć chcemy. I oto, jako dowód tego życia, wytwarzamy wspaniałe zjawisko — tajną, nielegalną literaturę, ilością prawie dorównującą legalnej, a wpływem może ją przerastającą. Wbrew gwałtom i przemocy, pomimo turm i knuta, naród nasz w swym łonie wytwarza, jak i inne, szczęśliwsze narody, stronnictwa i partie, żyje skomplikowanym, nowoczesnym życiem politycznym, a najczęstszym tego życia dowodem jest nie co innego, jak nielegalne słowo drukowane — bibuła.

Jak już zauważyłem, wszystkie stronnictwa w Polsce walczą tą bronią, lecz, rzecz prosta, ci, którym dzięki, azjatyckie urządzenia caratu odmawiają prawa bytu, muszą się do niej uciekać częściej, najbardziej nad jej wyostreniem pracować. Są nimi demokraci wszelkiego gatunku, a przede wszystkim socjaliści, jako ludzie, których sama nazwa, sama etykieta należy do rzeczy, prześladowanych bezlitośnie. Więc zwycięstwo, rozwój swobodnego, nieskrępowanego pętami cenzury słowa, to przede wszystkim ich zwycięstwo.

Lecz jest ono zarazem zwycięstwem ich — demokratów — i na innym polu, polu, które tak długo, niestety, odłogiem u nas leżało. Tym polem jest dusza narodu, narodu, rozumianego nie jako kasta, nie jako cieniutka warstwa ludzi, uposażonych w bogactwa i wykształcenie, lecz jako ogromny, wielomilionowy konglomerat ludzi, związanych wspólną mową, historią i poczuciem przynależności do tego, a nie innego narodu, konglomerat, w którym olbrzymią większość stanowi lud pracujący wiejski i miejski. Ta dusza, tak długo w bierności pogrążona, budzić się zaczyna. A przecie wszystkie złe duchy naszej przeszłości i terażniejszości — ciemnota

i niewola, knut najezdника i interes wyzyskiwacza — sprzy sięgły się, by tę duszę w bezwładnej bierności utrzymać. I jeśli obecnie jesteśmy świadkami tego, że «lud drga i szumi, jak fala wód», to zawdzięczać to należy «gorącemu oddechowi słowa», słowa demokratycznego, nawołującego go do samodzielnego życia. A słowo to w zaborze rosyjskim jest przede wszystkim słowem drukowanym — bibułą.

To też niejeden z nas, rewolucjonistów, żołnierzy demokracji, patrzy na bibułę, jak na wiernego towarzysza broni, druha serdecznego, współbojownika niezawodnego, z którym się dzieli twarde obozowe życie rewolucyjne, z którym się zwycięża i ginie. Pamiętam, w X pawilonie zawołano mię pięknego dnia sierpniowego na badanie. Otoczony strażą, wszedłem do pokoju, w którym zastałem oficera żandarmerii, schylonego nad arkuszem papieru. Usiadłem naprzeciw niego i rzuciłem okiem na stół, zielonym suknem obity.

Stół był pokryty prawie zupełnie papierami urzędowymi, protokołami i innymi produktami pracy żandarmskiej. Lecz na brzeżku stołu ujrzałem plamę, żywym czerwonym kolorem rozweselającą nieco szare, bezbarwne tło przybytku nowoczesnej inkwizycji. Przyjrzałem się tej plamie uważniej i mimowoli wyciągnąłem w tym kierunku rękę. Była to broszura: «Czego chcą socjaliści»<sup>1)</sup>. Niegdyś, przed paru laty, byłem obecnym przy jej drukarskich narodzinach w Londynie.

Pisał ją emigrant, tułacz, obce wycierający kąty. Pisał ją gdzieś w górzystej Szwajcarii, myślą i uczuciem tkwiąc w równinach mazowieckich, współczując wszystkimi nerwami niedoli dalekich w przestrzeni, lecz bliskich w sercu chłopów z nad Wisły. Składali ją w Londynie zecerzy, również emigranci; składali, nieraz nie wiedząc, czy jutro kawałek mięsa ujrzą na swym talerzu, z myślą o dalekim ojczystym kraju. I oto myśl i troska serdeczna autora, skryształizowana pracą zecerów w czarnych, drobnych literkach, rozsianych po szmatkach papieru, ubrana w barwną sukienkę okładki, przybrała formę tego, co dalsi jej opiekunowie nazywają żartobliwie bibułą.

Jako bibuła, książeczka, zgodnie z intencją swych ojców, powędrowała z mglistej Anglii do ich ojczyzny. Gdyby ona mówić, opowiadać mogła, usłyszano by z pewnością ciekawą, pełną romantycznych przygód, historię. Tuliła ją może do gorącego łona opakowana bibułą dromaderka partyjna, leżała

---

<sup>1)</sup> Autorem broszury «Czego chcą socjaliści» był Edward Abramski.

ona w składach, w ciemnych koszach i walizkach. Schowana na dnie «brunetki» czy «blondynki», trzęsa się w wagonach, przemykała się przez sieci trzeciej linii zielonych, drżała pod okiem szpiclów i żandarmów. Wreszcie poszła w świat, rozpoczęła swą służbę.

Była może i w podartych kieszeniach szczelnie zapiętych mundurów akademickich i w zaszmelcowanej, przesiąkłej potem kieszeni robotnika na fabryce, ukrywała się w zanadru siermiąg chłopskich. Przyjmowano ją różnie: uśmiechem pobłażliwości, okrzykiem zachwytu, wzrokiem nienawiści. I oto wreszcie przyszedł koniec, śmierć obywatelska książeczki.

Pod osłoną mroków nocy do ostatniego jej przybytku wpadli jej prześladowcy — błękitne podpory tronu carskiego. Z brzękiem ostróg, z hałasem nieznanym, obcym jej wyrazów, wyciągnięto ją skądś z ukrycia, być może brutalnie nagraowano się z jej bezsilności. Rzucono ją pogardliwie na stół, ją — córkę swobody — umieszczono w sąsiedztwie z wstrętnymi, ociekającymi krwią, cuchnącymi katownią papierami — aktami przemocy i niewoli.

W tym samym położeniu byłem ja, jej towarzysz broni, świadek jej urodzin w obcym, lecz swobodnym kraju. Skończyły się dla nas piękne dni swobody, przerwało się pasmo przygód, urwała się dla nas walka, a zaczęły się szare, jednostajne dni poniżającej niewoli. Byliśmy tym jeszcze razem zwyciężeni. Lecz to spotkanie w domu niewoli — krótkotrwałe, co prawda, bo żandarm, spostrzegłszy kierunek mego wzroku, przykrył pośpiesznie czerwoną, wołającą o życie płamę szarym urzędowym papierem — sprawiło mi przyjemność. Byliśmy zwyciężeni, ale gdyby ta drobna książeczka myśleć i mówić była w stanie, to, milknąc na wieki w mrocznych murach katowni carskiej, powiedziełaby mogła swym wrogom słowami poety:

Choć mi się oprzesz dzisiaj — przyszłość moja  
I moje będzie za grobem zwycięstwo!

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ